

# WIECZORY RODZINNE

## CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Treść.—Pogadanki o sztukach pięknych, (z drzeworytem) przez M. J. Z.—Lato, wierszyk (z drzeworytem), przez O. Skibińską.—Z życia wielkiego wojewody, powieść historyczna, przez Paulinę Krakowową, (dalszy ciąg).—Gawędy podsłuchane u Wiślanej fali, przez M...a.—Listy z Warszawy.—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Rozwiązanie zagadki geograficzno-historycznej.—Łamigłówki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—Śpiew.—W dodatku Tajemnica Starego Dworu (powieść).

### POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

#### X.

#### Architektura arabsko-maurytańska.

Gdy mahometanie wzrosli w potęgę i bogactwo, chcieli także mieć dzieła sztuki, świadczące o ich wielkości. Z początku zapewne sprowadzili zdolnych budowniczych z krajów chrześcijańskich, gdzie już sztuki były rozwinięte, a ci naśladowali wzory znane, bizantyńskie. U mahometanów tak samo, jak i u innych narodów, najwspanialsze budowle wznoszone były na cześć Bogu, ale religia ich wzbraniała wszelkich wyobrażeń bóstwa, niewolno też było w świątyni przedstawiać, czy to w rzeźbie, czy w malowidle, jakichkolwiek postaci ludzkich lub zwierzęcych. Nawet ołtarza nie mają muzułmanie, w meczetach ich jest tylko rodzaj niszy, zwróconej w stronę Mekki, świętego miejsca, gdzie się znajduje grób Mahometa. Nisza ta nazywa się Mihrab, jest zwykle bogato przyozdobiona, obok zaś znaj-



Wnętrze meczetu w Kordubie.



duje się wzniesienie z baldachinem, na kształt ambony, tam iman, kapłan muzułmański, odprawia modlitwy. Narody wschodnie mają wrodzone upodobanie do kształtów fantastycznych, do ozdób świetnych, bogatych. Nie mogąc wyobrazić żadnych postaci istot żyjących, artyści mahometanscy obmyślali w zdobach najrozmaitsze kombinacje figur geometrycznych, zygzaków lub kręconych deseni, podobnych do tych, jakie widzimy na dywanach lub szalach perskich. Ztąd nawet takie desenie i dziś zwane są arabeskami.

Najdawniejsze meczety muzułmańskie budowane były w Egipcie, w Kairze. Architektura ich przypomina bizantyńską, ale ma cechy odrębne; i tak: kopuła półkulista u Arabów przybrała kształt wydęty, nakształ cebuli, arkady powyginały się dziwacznie, jak podkowy, naśladując półksiężyc, czczony przez mahometanów, albo przełamały się u góry, tworząc szczyt zaostrowy.

Najwspanialsze pomniki téj wschodniej, fantastycznej architektury, pozostawili Maurowie, którzy przez siedm wieków panowali w Hiszpanii. Pałac kalifów w Grenadzie zwany Alhambra i meczet w Kordubie, dziś na katedrę katolicką zamieniony, do cudów świata są zaliczone. Rysunek nasz przedstawia wnętrze meczetu. Ogromny ten gmach wypełniony jest mnóstwem kolumn przesłicznych, z kosztownego marmuru, porfiru, jaspisu; ponad kolumnami unoszą się lekkie łuki, w stylu maurytańskim, zagięte w podkowę, na kapitelach tych pierwszych słupów spoczywają lżejsze jeszcze czworokątne filary i podtrzymują znów arkady wyżej wzniesione. Łuki ozdobione są błyszczącymi polewanymi kafelkami, białymi i czerwonymi, wyłożone marmurem, na sklepieniach i gzemkach mnóstwo wszędzie złocen i mozaiek różnokolorowych. Niektóre łuki, jak widzicie na rysunku w głębi, na lewo, wycinane są w mniejsze kręgi, jakby w zęby. Przerabiając ten meczet na kościół chrześcijański, wyjęto pewną ilość kolumn ze środka, dla rozszerzenia miejsca na ołtarz, jednakże pozostało jeszcze osmset kilkadziesiąt. Za czasów muzułmańskich obliczano ich liczbę na tysiąc kilkaset. Cóż to za widok być musiał, gdy wśród tego lasu wysmukłych słupów i łuków

powiewnych zapłonęła niezliczona ilość lamp, a złocenia, jaskrawe mozaiki, zamigotały tysiącem blasków, odbijając od białości marmurów. Okazały ten budynek, rozpoczęty przy końcu VIII wieku, ukończony był w sto lat z górą.

Szczątki pałacu Alhambra zajmują przestrzeń rozległą; w obrębie jego mieściły się wspaniałe dziedzińce, z bijącymi po środku wodotryskami, we wszystkich kierunkach ciągnęły się rozmaite przejścia, galerie kryte i szeregi kolumn połączonych u góry przezroczytym sklepieniem wysmukłych łuków, przez które przegłądał błękit nieba; a obok białych marmurów cudnie wyglądały wiecznie zielone drzewa, cytryny, pomarańcze, granaty, pokryte wonnym kwiatem lub owocem złocistym i purpurowym. Wszystkie ściany pałacu powleczone były jaskrawą mozaiką polewanych, błyszczących kafelków, ułożonych w najfantastyczniejsze szachownice i desenie, a dokoła drzwi, okien, wzdłuż gzemów, ciągnęły się płaskorzeźby wyrobione z gipsu, który arabowie umieli przyrządzać tak doskonale, że zupełnie twarością i połyskiem marmur przypominał. W płaskorzeźbach tych nie wolno było przedstawić żadnych postaci, tak samo, jak i w świątyniach, więc artysta snuć musiał z fantazyi przeróżne esy, floresy, sploty i zygzaki, a często także do tych deseni dodawał szeregi liter arabskich, które także do dzwicznych zygzaków są podobne. Były tam i ustępy z koranu, i poezye i różne napisy głoszące chwałę kalifów.

W Turcyi, gdzie mahometanie do największej doszli potęgi, architektura nigdy nie miała tyle wytwornego wdzięku. A jednak pomimo całej piękności i całego bogactwa pomników sztuki maurytańskiej, można w nich bardzo ważnego braku dopatrzeć. Wszystkie usiłowania artystów zmierzały do tego, aby nagromadzić mnóstwo fantastycznych i bogatych ozdób. Szło im głównie o to, ażeby wdziękiem kształtów, świetnością barw, sztucznym zestawieniem błyskotek, oczarować wzrok patrzącego. Ale niema w tych dziełach żadnej głębszej myśli, nie przemawiają one do duszy, tylko zmysły upajają i pobudzają wyobraźnię. I dziś po-

dróżni, którzy Hiszpanią zwiedzają, z przyjemnością przypatrują się pozostałym szczątkom budowli maurytańskich, zachwycają się nimi nawet, ale artyści chrześcijańscy nie naśladowali ich, lecz w duszy swojej wysnuli inne wzory, inny ideał piękna, właściwszy pojęciom swoim religijnym i moralnym. Jakie arcydzieła wytworzyli w tych wiekach, gdy wiara gorąca i głęboka ożywiała wszystkie dusze, o tém mówić będziemy w następnych pogadankach.

M. J. Z.

## LATO.

Na łąkach już trawy skoszono,  
W polu dojrzewają kłosa,  
W ogrodzie i w lasku zielono,  
Kwitną lilie, głogi, wrzosy.

O! bodajto święte lato,  
Strojne w pęki róż i bżów —  
W złote tęcze, w mgły pajęczce,  
I w słowiczą pieśń bez słów...

Jutrzenka gdy wstanie z nad rzeki,  
I blaskiienne roztoczy,  
Gdzie spojrzysz — krajobraz daleki,  
Raduje serca i oczy.

Duch przyrody, wiecznie młody,  
Nadpowietrzną pieśnią brzmi —  
A u góry, w blask purpury  
Obleczone słońce łni...

W drzew leśnych ukryta półkieniu,  
Wonne kwiaty niesie w ręku,  
Dziewczynka o jasnym spojrzeniu,  
Prostoty pełna i wdzięku.

Na jej głowę, lazuruwe  
Niebo zlało urok swój...  
Młodość! wiosna! myśl radosna —  
To jedyny szczęścia zdroj!

O. Skibińska.

## Z życia wielkiego wojewody.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

PAULINĘ KRAKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz, skoro świt ozłocił bystre fale Morawy, wojsko było na nogach; zbierano się do nowego pochodu, i ruch obozowy zbudził królewicza. Przetarł oczy, przeżegnał się i patrzył z uśmiechem na śpiącego jeszcze towarzysza.

— Héj, Piotrek! — zawołał.

Na równe nogi zerwał się młodzieniec, potrząsnął głową uwolnioną z hełmu, lecz strudzoną może od twardego wezglowia i przez chwilę, zebrawszy myśli, znak krzyża położywszy na piersi, zapytał:

— A co każecie?

— Przybraćby nam się trzeba. Ale idź ty wprzód do twego sługi i konia, żebyś miał wszystko gotowe, bo jak zatrąbią, to trzeba mieć nogę w strzemieniu. Potem wracaj.

— A was tu samych zostawię?

— O mnie tu nie zapomną!

Jakoż w téj chwili siwa broda giermka ukazała się z pod płótna; przesunął się lekko Piotr obok starca, dążąc do tego, co na teraz jedyną było jego posiadłością. Powitał pacholka, upieścił konia, posilił się, uzbroił, i niezadługo przed namiotem wojewody stanęli naprzeciw siebie dwaj mali rycerze, ku podziwieniu i uciesze poważnych mężów, czekających ukazania się hetmana. Obok ukoronowanego hełmu i Orłów białych na nim i na tarczy Bolesława, stał biały Łabędź w czerwonym polu Dunina, a dumna i śmiała postawa młodego wojaka podobała się ogólnie.

Sieciech wyszedł z namiotu, potoczył wzrokiem po zebranych i zatrzymał go na rówieśniku księcia.

— Czemuś nic w swoim szyku? — zapytał.

— Ja mu kazałem, by tu przyszedł — rzekł Bolesław.



— Po co?

— Wojewodo! chciałbym go mieć swoim giermkim.

— Jest przecie Grzegórz;—rzucił hetman surowo.

— Grzegórz stary, niech mu ten pomaga. Spaliśmy dziś razem... dodał mały rycerz pieszczotliwie; znać szło mu o to, by się po jego woli stało.

— Jakże się ty zowiesz malcze?—zapytał ostro starzec.

— Piotr Hugo Dunin, syn Włosta z Soboty—odrzekł wyraźnie lubo z uszanowaniem młodzieniec.

— Dunin, Donin, Duńczyk—poczęli się odzywać rycerze; bo znali jego ojca z wypraw na Ruś i na Czechy, wspominali go z uznaniem, przypominając sobie, że jego rodzina aż gdzieś z nad morza pochodzić miała.

Wysłuchawszy tego, Sieciech machnął znów ręką, mówiąc:

— Niechże tak będzie! Pilnujże się ostro księcia.

I odtąd dwaj młodzieńcy stali się nierozdzielni. Jak wiadomo, Bolesław miał wielki charakter, wytrwałość i odwagę, i prawdę o młodości jego powiedział Julian Ursyn:

„Jezdzi na czaty, głód i zimno znosi

„I w trudach siły nabiera.“

Piotr, nie tylko że mu w niczem nie ustępował, ale starszy, silniejszy, wspierał nieraz jego ramię, brał większą połowę utrudzenia na siebie, zastępował w cięższych zajęciach, a czuwał nad swoim księciem, jak najczulsza matka. Skarby serdeczne, nie zużywane od czasu wczesnego sieroctwa, z całą tkliwością przelewał na dzielnego Bolka i po szczęśliwie odbytej wyprawie, w której nieraz młody giermek sobą rycerza swego zastępował, wyznał mu książę, że go daleko więcej kocha niż brata swego Zbigniewa.

Nie lekkiej powiastki rzeczą jest wyliczanie wszystkich wypraw, w jakich brał udział rycerski Bolesław za życia jeszcze ojca swego, Władysława Hermana; czytelnicy nasi znajdą je z upodobaniem, rozczytując się w dziejach krajowych, to tylko powiemy, że

we wszystkich wiernie i nieodstępnie towarzyszył mu Piotr Hugo, nie szczędząc zdrowia i życia swego w obronie śmiałego do zbytku i chętnie się na niebezpieczeństwa narażającego królewicza. Za powrotem do Płocka, gdzie król przebywać lubił, Bolko wprowadził ulubionego towarzysza do komnat książęcych, a młody Dunin przyswajał sobie nie tylko wytworność i oglądę, której dotąd nie spotykał, lecz chętnie się garnał do rozumnych, a nawet uczonych rozmów, jakie tu nieraz przebywający na dworze duchowni prowadzili. Śmiały na wojnie, u dworu skromnym był i cichym, słuchając ciekawie wszystkiego, mało się sam odzywał, uprzejmy i usłużny, zjednał sobie życzliwość wszystkich, pobożny z domowej jeszcze tradycyi, chętnie długie chwile trawił w wspólnym płockim tunie, na gorącej modlitwie. Z drugiej strony nie opuszczał nigdy zapasów ani igrzysk wojennych, które się dla wprawy i uciechy książąt odbywały często na zamkowym dziedzińcu. Jedna tylko istota w całym dworze i wojsku szczerze była niechętną Duninowi. Był to starszy syn królewski, Zbigniew, przyrodni brat Bolesława, niespokojny, kłótniwy i zazdrosny o wszystko, nawet o pieszczoty matki. Chociaż księżna Judyta, córka czeskiego księcia Wratysława, była pasierbowi dobrą i szlachetną macochą, nie mogła nigdy zjednać jego serca dla siebie ani dla Bolka. Znacznie starszy od brata, we wszystkiemu mu się sprzeciwiał, wszystko w nim wyszydzał, nawet gorące i w dziejach głośne przywiązanie jego do ojca pochlebstwem i fałszem nazywał. Wśród igrzysk nie miał nigdy względu na mniej silny ustrój i niższy wzrost brata, zmagał go często, a zawsze ostrym szyderstwem dotykał. Od czasu dopiero, gdy przy boku Bolesława stanął Piotr, od Zbigniewa silniejszy i zręczniejszy, zmieniła się kolej zapasów, i szala powodzenia przechyliła się ku młodszemu, a za to w starszego sercu powstała zazdrość i niechęć głęboka ku wiernemu giermkowi.

Trapiiony niezgodą synów i przewrotnością Sieciecha, który ich przeciw władcy i

przyjacielowi swemu, a ojcu ich wielokrotnie podburzał, Władysław Herman, miłujący zgodę i pokój, za życia jeszcze swego wyznaczył dzieciom dzielnice, w których rządzić i panować mieli. Zbigniew, lubo starszy, otrzymał Wielkopolskę, Sieradzkie i Mazowsze, Bolesław zaś całą resztę kraju z Krakowem i zwierzchnią władzą dostał w podziale. Powodem téj różnicy było pochodzenie ich matek; pierwszą żoną Hermana była prosta szlachcianka, Prawdziówna, której rada królewska nie chciała przyznać tytułu królowej, drugą była Judyta, czeska królowna i dla tego jéj synowi wyższość nad bratem przyznano.

Pięknym i obszernym był udział Zbigniewa i z innym charakterem mógłby był na nim poprzestać, rządzić obszerną swoją dzielnicą, bronić i uszczęśliwiać jéj mieszkańców; ale w duszy jego wrzały od młodych lat zazdrość i nienawiść. Znieść on nie mógł zwierzchnictwa brata i ledwie ojciec ich zamknął oczy, ledwie sam objął nad swoją częścią władzę, już zaczął myśleć o szkodzeniu Bolesławowi i czując siły swe zasłabemi, podburzył przeciw niemu Czechów w 1103 r.

Teraz, rozumiejąc całą ważność pobratymstwa, uczeni nasi skrzętnie poszukują związków, stosunków i wspólnego pochodzenia plemion słowiańskich, lecz w czasie, o którym mówimy, plemiona te, jak dzieci licznej rodziny, to wspólną myślą wiedzione łączyły się z sobą, to dla mniejszej lub ważniejszej przyczyny powstawały jedne przeciwko drugim i dla tego nie mało krwi przelano, zanim pojmując korzyści pokoju, drobniejsze szczyty, zamiast się występiać wzajemnie, uznały za lepsze garnąć się do silniejszych, przyjmować ich wiarę, prawa i wspólnym władcóm ulegać.

Wzburzonych przez Zbigniewa Czechów pokonał wkrótce hetman Bolesława, Żeliszław; król sam zajęty był urządzaniem kraju i spraw jego, a Piotr Hugo Dunin, w ważnej sprawie wysłany, znajdował się wówczas daleko.

Nie miał jeszcze lat dwudziestu Bolesław III, gdy mu przyszło rządzić ogromnym już krajem. Czuł całą ważność tego obowiązku, stanowił sobie spełniać go wiernie, starać się

wszelkimi siłami o szczęście swego ludu i bronić go dzielnie przeciw gotowym w koło do napadu sąsiadom. Lubo od dzieciństwa część życia spędzał na wojennych wyprawach, walczył i „służąc uczył się, jak miał rozkazywać,“ z rozkoszą jednak wracał z każdej wojny do domu, do łagodnego ojca i kochającej matki, a czując całą wartość rodziny, nie bohaterem, lecz dobrym synem i miłym towarzyszem był dla niéj.

Z poważnej rady roztropnych pomocników swoich, zgodził się chętnie na wybór małżonki i wyprawił po nią przyjaciela swego Piotra, znającego doskonale myśli i życzenia młodego króla. Już wówczas Dunin, choć młody, był mężem doświadczonym; obóz, dwór i chętnie z uczoném duchowieństwem przebywanie w wolnych chwilach, rozwinęły i wyrobiły wielkie zdolności, jakimi go natura obdarzyła szczodrze, a lubo osobistego majątku prawie nie miał, hojny król tak go na tę drogę wyposażył, tak świetny przydał mu orszak, że skoro wjechał w mury bogatego Kijowa, wszystkich oczy i podziwienie zwrócił na siebie.

Nie nowiną był w owych czasach orszak z Polski przybyły; pamiętano jeszcze w nadnieperskiej stolicy wjazd Bolesława I-go przez Złotą bramę; nie wyszedł jeszcze z pamięci mieszkańców kilkoletni pobyt Bolesława II-go, nie darmo Szczodrym zwanego, a ponieważ Władysław Herman, głównie przeciw Pomorzu i Czechom zwrócony, nie wojował z Rusią, przestając na pokojowych z nią układach, życzliwa ciekawość otoczyła przybyłych teraz gości, i bez przeszkody, po dopełnieniu formalności, poseł polskiego króla przedstawionym został na wielko-książęcym dworze.

Książę Świętopęk przyjął Dunina łaskawie, odebrał list królewski i kazał go sobie zaraz przez swego kancelariusza w obecności oddawcy przeczytać; wywołało to szereg zapytań i objaśnień, na które młody poseł odpowiadał z równą łatwością, czy to sam wielki książę zadawał je w ruskiém narzeczu, czy przyboczny mu duchowny żądał rozwinięcia listu monarszego, pisanego jak zwykle naówczas po łacinie, czy tenże nakoniec, sądząc, że nie będzie zrozumianym, przemówił



do księcia po grecku, Piotr Hugo, nie chcąc podchwytwać zaufania, z równą łatwością przemówił i tym językiem, bo już za Mieczysława II-go do przyjętej w kościele polskim łaciny wprowadzoną była i greczyzna. Nieodstępny Bolesławowi Dunin, wraz z nim korzystał z głębokiej nauki kanonika, a później biskupa bamberskiego Ottona, uznanego świętym, w ukształceniu też jego podług powszechnej owoczesnej wiary nie było żadnego braku, a ogląda i szczerze do monarchy swego przywiązanie ujęły mu od razu serce Świętopelka.

Książę wybierał się właśnie za Dniepr, na łowy od kilku dni przygotowane, lecz gdy zawezwany do udziału w nich Dunin podziękował za ten zaszczyt, pragnąc się niezwłocznie księżnie pokłonić, Świętopelk, poleciwszy go kanclerzowi, pożegnał łaskawie.

(d. c. n.)

## GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANEJ FALI.

przez M...a.

### IV.

#### W A W E L.

W pobliżu ujścia Rudawy do Wisły, na skalistym tej Wisły brzegu, piętrzyła się wysoka góra. Na górze nie było nic prócz zieleni i gromadki drzew niewielkich, chwiejących się pod górskich nadwiślańskich wichrów powiewem. W oddali po za górą czerniły się bory, a u stóp zaś góry, w zaciśnym kącie, pomiędzy borami, górą i Wisłą, osiadło sobie w czterech chatach, czterech zamożnych braci. Zwali się oni: Krak, Stradom, Kazimierz i Kleparz. Każdy miał liczną rodzinę, dużo dobytku i łódkę, niby konia wiślanego, uwiązane go na Wiśle u brzegu. Koło łódek stały jeszcze na Wiśle tratwy, to jest duże sztuki drzewa, pozbijane ze sobą tak, że wyglądały jak mosty. Na te

mosty kładło się wszystko, czego u bogatych braci z dobytku, czy nabiału, czy leśnego zwierza było za dużo, i wiozło się z wiślaną falą w dół, do sąsiednich osad, gdzie się te zbywające przedmioty zamieniały na inne, jakich bracia owi czterej nie posiadali. Gdy dziecko w której z owych czterech chat wyrosło, szło do boru z rówieśnikami, ścinało drzewa, woły i konie przyciągały te ścięte drzewa w pobliżu osady i dorosłe dziecko budowało sobie nową chatę, tuż obok ojcowej. Takim sposobem z czasem stanęło pod górą dużo mieszkań, ale w czterech oddzielnych gromadach, skupionych około czterech chat głównych. I tak już pozostało.

Cztery niby wioski, chociaż tak rozrosłe, że się ze sobą łączyły, zwały się przecież od imion ich założycieli: Krakowem, Stradomiem, Kazimierzem i Kleparzem i pozostały jakby czworgiem dzieci jednej matki, które choć stanowią jedną rodzinę, nie są wszakże jednym i tym samym dzieckiem. Taki początek tej osady musiał mieć miejsce w czasach niezmiernie dawnych, tak dawnych, że napewno, to jest historycznie, nie można nawet, czasów owych obrachować. Można jednakże twierdzić o wielkiej ich starożytności na tej zasadzie, że o tym zbiorowisku domów pod górą, u ujścia Rudawy do Wisły, wspominał już w starożytności pewien wiarogodny pisarz uczony, imieniem Ptolemeusz, który żył w siedmziesiąt lat po Chrystusie. Ten Ptolemeusz, mówiąc o tym zbiorowisku domów, nazywa je już miastem, i daje temu miastu nazwę Carrhodunum; prawdopodobnie od imienia Kraka, najstarszego z czterech braci-osadników, którego powaga, zarówno jak powaga jego dzielnicy, przeważała też zawsze między innemi. Ptolemeusz tylko przekreślił imię jego w swoim języku z *Krak* na *Carr* to jest *Karr*, ponieważ ludzom innych plemion, tak jak dziś, tak i dawniej było trudno wymawiać nadwiślańskie nazwy i wyrazy. Zresztą nie tylko ów Ptolemeusz, który żył w kraju niezmiernie od Wisły dalekim, ale i sąsiednie osady nazywały także najczęściej siedzibę potomków czterech braci Krakowem, od imienia najstarszego z nich Kraka. Imię to Kraka i Krakusa powtarza się w dziejach

nadwiślańskich niezmiernie często. Uczony historyk polski Długosz pisał w swęj kronice, że Krahus jakiś pobudował Kraków. Nie jest to jednak pewna historyczna wiadomość, tylko podanie; ale to, co się tu w tęj powiastce opowiada, nie jest nawet z podań pisanych wzięte, tylko z wieści powtarzanych przez starych ludzi i nie może być wcale do historii zaliczane.

Od osiedlenia się owych czterech braci pod górą, u ujścia Rudawy do Wisły, upłynęły długie wieki. Przyzwyczajono się już dawno nazywać tę osadę Krakowem, chociaż pamiątka imion innych trzech braci nie zagięła, bo do dzisiaj trzy ich dzielnice nazywają się Stradomiem, Kazimierzem i Kleparzem. Takie jednakże pierwszeństwo oddawane najstarszemu bratu w przyjęciu jego imienia za imię całej osady, a raczej miasta, dowodzi wielkiego szacunku dla wszelkiego starszeństwa, jakie zawsze istniało u nadwiślańskiego ludu.

Rozrastał się więc Kraków u stóp góry spokojnie. gdy jednego poranku, latem, wśród długiego dnia, wrzawa powstała w mieście okrutna. Co żyło biegło nad Wisłę, aż cała liczna już ludność stłoczyła się na brzegu, patrząc szeroko rozwartemi oczyma na niewidziany dotąd, niesłychany dziw. Dziw ten zbliżał się, płynąc przez wodę, środkiem wiślanych fal. Z daleka zdawało się to niby długim, świetnie mieniącym się błyskawicami przy słonecznym świetle, potworem. Aż ludzie przerażeni już wszelkie służące do obrony narzędzia przygotowywać zaczęli. Gdy się to coś wszakże zbliżyło, tedy poznano, że było to kilka łodzi, płynących jedna za drugą. Ale łodzi, o jakich lud nadwiślański nie miał dotąd wcale żadnego wyobrażenia; ani co do ich kształtu, ani co do przybrania ich i kierowania niemi. Wszystko to było tak dziwném, że tylko domyślał się lud nadwiślański w tém prawdziwych łodzi. Ale najdziwniejszém dziwem, byli stojący i siedzący na łodziach tych ludzie. I w nich trzeba było ludzi się tylko domyślać, tak błyszczeli w słonecznych promieniach od mnóstwa broni przeróżnej, ze świetnego metalu, o czém wszystkiém Nadwiślanie zaledwie że mieli pojęcie, bo choć były już dawno i u

nich noże, miecze i t. p. to było tego mało i nie takich kształtów.

Więc stali Nadwiślanie zdumieni i niespokojni na brzegu Wisły. Bo z jednej strony lubili oni bardzo przyjmować gościnnie każdego podróżnego; ale z drugiej, można było spokojnym mieszczanom zawahać się na widok podróżników tak okrutnie bronią metalową i metalem od stóp do głów okrytych.

Umiejętnie a zręcznie, jakby żywe olbrzymie ryby, przybiły do brzegu łodzie i obcy stąpili na ziemię krakowską. Najstarszy z osady, niby ten, którego dziś wójtem się zowie, podszedł ku nim z inną starszyzną, gościnnym zwyczajem niosąc im chleb i miód. Bo tak przyjmowano gości wówczas, gdyż posiadano już nad Wisłą żyto, pszenicę i pszczoły, ale soli jeszcze nie miano, kupując ją jedynie za zamianę od sąsiadów. Że zaś już wówczas mądry starcy mawiali, że chałta powinna być tylko tém rada gościowi, czém jest bogata, przeto obficie częstowano chlebem i miodem tylko. Obcy zjedli, wypili, rozglądając się przytém ciągle po okolicy bardzo ciekawie i bystro. Obchodzili w krąg owę górę skalistą nadbrzezną, rozmawiając wciąż ze sobą żwawo, ale niezrozumiale dla Krakowian, jakby też byli Niemcami. Lecz nieprzyjacielskich zamiarów nie okazywali zresztą wcale, wyjąwszy to, że pod żaden dach wejść nie chcieli. Patrzano na nich niespokojnie, gdy nagle jeden z nich, szperający czegoś po górze; krzyknął głośno, i natychmiast wszyscy do niego na górę pobiegli, prócz tych, którzy pilnowali łodzi.

Lud z dołu spoglądał na nich zgromadzonych na spadzistości góry, gdzie ów najpierwszy, który krzyknął, pokazywał im otwór znanéj Krakowianom jaskini. Jeden wszedł do owéj jaskini ostrożnie, potem drugi i trzeci, a następnie zaczęli wszyscy chyżo do jaskini owéj ze swych łodzi różne rzeczy i straszną ilość broni prznosić. Potém łodzie przesunięto w punkt najbliższy jaskini i postawiono między niemi i jaskinią łańcuch straży, która zmieniała się często, a od otworu jaskini mogła rozpatrywać całą okolicę. Co gdy wszystko się stało, zeszło z nich kilku do wójta i starszyzny i z trudem dali im do zrozumienia, że chcą w przyjaźni ży-



z Krakowianami, mieszkając w jaskini na górze i broniąc Kraków od wszelkiej, jakaby się zdarzyła, napaści, ponieważ bronni mają doskonałą i śmiertelne strzały niechybne, a rzeczy tak straszne umie wódz ich, iż się całego ludu sam jeden nie zleknie, lecz błyskawicami ludzi osłepi a chaty ich spali zdaleka, nie tknąwszy. Więc przyrzeka wódz używać tej potęgi swojej na nieprzyjaciół, wypatrując ich zbliżenie z góry swój, a z Krakowianami żyć w zgodzie, byle mu tyle a tyle wołów i chlebów i miodu co nów i co pełnia miasto dostarczało.

Krakowianie po namyśle przystali na te żądania obcych; raz dla tego, że ci obcy najprzód się dobrze i obronnie na górze swój osiedlili a potem dopiero o pozwolenie na osiedliny pytali, gdy nie łatwo było ich wyrugować zbrojnych i z obronnego stanowiska. A powtóre, ufnie Krakowianie pomyśleli, że bardzo będzie wygodnie mieć tam na wysokości górze wiecznie czuwających obrońców, bo Niemcy od zachodu napastowali często spokojny lud nadwiślański. Temu się tylko dziwiono, że nikomu wprzód nie przyszło do głowy postawić taką ciągłą i ciągle zmieniającą się straż na górze, jaką teraz utrzymywali ci obcy. A byli i tacy, którzy mówili, że możnaby nawet i kilkudziesięciu ludzi, czy w jaskini czy w chacie jakiej koło niej utrzymywać w pogotowiu, na znak tej straży, jakto teraz zrobili ci obcy i że szkoda, iż nie uczyniono tego już dawniej. Ale ponieważ nie uczyniono, to dobrze, że stało się to teraz, bo swobodniej przecież będzie można pracować koło roli i pszczół, bez obawy od niespodzianej napaści.

Tak sobie powiedzieli łatwi do zgody Krakowianie, pytając tylko kto będzie i którego dnia do nich po żywność owę na pełni i nowiu przychodził, aby już o tę rzecz nigdy żadnych nie było zatargów. A posły odpowiedzieli więcej znakami, a trochę i słowy dziwnymi, których znaczenia trzeba się było domyślać, że na nowiu i pełni ich wódz będzie *Wawel*, a wtedy żywność trzeba do stóp góry dostawić, z kądem ona będzie zaraz wzięta. Posły dodali że na widok zbliżających się nieprzyjaciół, wódz będzie także *Wawel*.

Na takie objaśnienie spojrzeli po sobie

Krakowianie nie mogąc pojąć co znaczy wyraz *Wawel*? Posły starali im się wytłomaczyć, przykładając obie ręce do swych ust i wydając głos przeciągły. Z czego wszystkiego zrozumieli Krakowianie, że ci ludzie nie są dobrymi bo nie są szczerymi, chcąc wystawić im swego wodza na postrach, niby potwora jakiego, który będzie ryczeć, żądając żywności i ostrzegając o niebezpieczeństwie. Wyraz *Wawel* rozumiano nareszcie jako wyraz: ryczeć. Tymczasem wyraz ten istnieje do dziś dnia u Anglików z niezmiernie małą różnicą, bo pisze się *Wawl* a znaczy krzyczeć, wrzeszczeć, wołać, Anglicy zaś, jak wiadomo, pochodzą w części od Normandów; Normandowie znów mieszkali w Skandynawii i okolicznych wyspach, z kądem wedle własnej opowieści pochodzili owi nieproszeni goście w Krakowie. Bardzo więc być może, iż oni przez wyraz *Wawel* zrozumieli tylko to, że wódz ich będzie dawał znak trąbiąc, zapomocą jakiego narzędzia, gdyż ręce złożone do ust przykładali. Jakbądź jednakże niedokładnie się rozumiano, a podobano sobie przybyszy coraz mniej, zgodzono się przeciw na ich żądania ostatecznie, i posłowie, wrócili do fortecy swojej, to jest do obronnego siedliska swego na górze. I nie widziano ich już inaczéj, jak tylko kręcących się po górze i trzymających straż na niej lub odpływających i wracających na łodziach swych, które stały zawsze w pogotowiu w pobliżu jaskini.

Tak było do pierwszego nowiu. Pierwszego wieczora nowiu rozległ się z góry głuchy ryk.

— *Wawel*—krzyknęło całe miasto i posłali umówioną żywność. Kiedy indziej, gdy zagrzmiał znowu ów ryk, a nie na pełni ani na nowiu, wtedy wołano znowu: *Wawel* *Wawel* i miano się na ostrożności, bo znaczyło to napaść jakowąś. I przyzwyczajono się słysząc ten głos, mówić:

— Chodźmy na *Wawel*

Tak jakby mówiono: chodźmy na wołanie; bo przybysze zajmowali całego ludu uwagę i czy żywność odbierali, czy dawali znak trwogi, zawsze lud ciekawy biegł na *Wawel*, aż wezwyczajono się wyrazem tym samo miejsce, ku któremu dążono, oznaczać: Pójdź-



my na Wawel, znaczyło: pójdźmy ku górze,  
na której ci dziwni cudzoziemcy ryczą.

Więc rycieli, a raczej trąbili owi cudzo-

coraz więcej wymagać i trapić Krakowian  
zaczęli. Zdarzyło się wprawdzie, że odparli  
raz czy dwa napaść niemiecką, ale przy tej



### L a t o.

ziemcy a spokojny lud, zamiast przyzwyczajając się do ich sąsiedztwa, coraz niespokojniej biegał koło Wawelu, bo przybycze pokazali się nieszczeremi w istocie i z czasem

sprawie ani myśleli oszczędzać ludnego Krakowa. Przeciwnie, dali się umyślnie napaśnikom zaplatać w bój z Krakowianami, aby dopiero napaść na nich z nienacka i zabrać



zapasy i broń, o którą im najbardziej chodziło. Lecz mniejsza o Niemców, którzy może i Niemcami nie byli, a tylko tak ich zwano. Gorszymi od tych Niemców stali się wprędce owi przybysze, osiedleni na górze, z której po prostu wypadali na rabunek całej okolicy, poznawszy wprzód dobrze jej położenie, bory, wąwozy i przejścia. Krakowa samego niby to nie rabowali oni wprost, ale nakładali nań coraz uciążliwsze okupy na pełni i nowiu. Spokojny lud dawał co mógł dla świętego spokoju, aż przyszło do takiej zgrozy, że przybysze ośmielili się żądać okupu w ludziach.

Strach padł na Kraków i okolice; a cudzoziemcy ci już się wówczas tak potężnie obwarowali na skale swojej, i tyle mieli broni, że opierać się im było niełatwo.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, potrafili oni przygnębić lud nadwiślanski tak bardzo, że otrzymali kilkakrotnie ów żądany okup z ludzi, których więcej Krakowianie nie oglądali. Wystraszona ludność jęczała pod tém jarzmem, powiadając że dzika przemoc z Wawelskiej jaskini, niby smok potworny, pożera ich współbraci. I smokiem zwano w okolicy owych strasznych ludzi z Wawelu. Drżał tedy lud zbyt ufny na każdy ryk wawelski, opuszczał ręce, z których wypadła praca i ciężka rozpacz ogarniała już dusze, gdy zjawił się dzielny młodzian imieniem Krakus, który wedle znanego powszechnie podania, zabił owego smoka podszedłszy go jakowąś zręczną sztuką. Tenże Krakus też wybudował zaraz zamek na górze, dbając o obronną wartość tego stanowiska, wdzięczny lud obrał wodzem swoim czy księciem dzielnego młodziana, a górze pozostała na zawsze nazwa *Wawelu*.

Co do owych ludzi zbrojnych a okrutnych i podstępnych, którzy napadli i gnębili spokojny lud krakowski tak okropnie, że ten lud upostaciował przemoc ich w smoku, pożerającym młodzieńcy i dziewice, ci ludzie byli rozbójnikami morskimi. To się pokazuje z ich czynów; témbardziej że zapytani z kąd przybywają? dawali do zrozumienia, że przybywają z kraju swego, leżącego na przeciw ujścia Wisły do morza. Wiadomo zaś, a to już jest historyczne, że cała Skandyna-

wia i wyspy leżące mniej więcej na północ od ujścia Wisły, były właśnie gniazdem, niezmiernie starożytnego rozbójnictwa morskigo, czyli korsarstwa. Stolicą niby tego korsarstwa była wyspa Gotland. Korsarze ci wypływali z siedlisk swych i na mocnych, zręcznych łodziach zapuszczali się we wszystkie rzeki wpadające do Bałtyku i morza Północnego, płynąc niemi, jakby jechali bitym gościńcem, a paląc, niszcząc, mordując i rabując wszystko, po drodze, co się dało. Zapuszczali się oni tak rzekami w głąb środkowej Europy nieraz bardzo daleko, gdyż historycznym jest, że byli aż w głębi Szwajcaryi i w Kijowie. Ludzi, których uprowadzali w niewolę, lub brali w podatek niejako jak od Krakowian, sprzedawali zapewne, jako niewolników.

## LISTY Z WARSZAWY.

### Kazio do Maryni.

Domyslasz się zapewne, kochana siostrzyczko, dla czego tak długo nie pisałem. Oj, ciężki to był miesiąc dla młodzieży szkolnej, wszyscyśmy powtarzali tak żałosnie, jak ta panienka w 25-tym Nrze *Wieczorów*: Egzamin, egzamin, ach jutro już! Dzięki Bogu już trwoga przeminęła, wszystko szczęśliwie się skończyło, dla mnie przynajmniej, i nastają wesołe wakacye. Nim jednak wyjadę z Warszawy, muszę ci opisać rzecz ciekawą, nadzwyczajną, zadziwiającą, którą tu widziałem i słyszałem. Byłem na takim koncercie, gdzie zamiast śpiewaków i śpiewaczek, zamiast muzycznych narzędzi, śpiewała blaszka stalowa i to przeróżnemi głosami; raz miała piękny głos sopranowy pani Dowiakowskiej, artystki opery warszawskiej, to znów tenor pana Kwiecińskiego, artysty tóż opery, grała jak flet, jak trąbka, w końcu nawet jak fortepian. Tymczasem w tej sali, gdzie ja tego wszystkiego słuchałem, nie było wcale tych artystów, ani fletu, ani trąbki, tylko na stole przykrytym dywanem stało



coś niewielkiego, niby lejek, przytwierdzony do jakiegoś bardzo niepozornego przyrządu, potem jakaś niby skrzyneczka, były tam także druty przeciągnięte aż do ściany, a na ziemi stały naczynia szklane. Ja poznałem odrazu, co to takiego, bo nieraz już czytałem o stosach elektrycznych i widziałem je na rysunkach. Tak, tak, to ta dziwna elektryczność takie sztuki wyprawia.

Słyszałaś pewnie o telefonie, bo ktożto o nim nie słyszał; wiesz, że to jest taki szczególny telegraf, który przenosi po drucikach i powtarza w znacznej odległości dźwięki muzyki i głos ludzki. Moznaby naprzykład przeciągnąć długi drut pomiędzy Warszawą i Skierniewicami... ale co też ja mówię, poco przeciągać, kiedy już są przeciągnięte zwyczajne druty telegraficzne na wszystkich drogach. Otóż przed kilku laty robili tu próby na tych telegraficznych drutach pomiędzy Warszawą i Skierniewicami. Jeden pan mówił w Warszawie trzymając przy ustach trąbkę przyrządu, zwanego telefonem, drugi znów trzymał inną trąbkę przy uchu i rozmawiali sobie doskonale. No, podobno nie tak znów bardzo doskonale, bo głos wychodził cichuténko i trudno było dosłyszeć i zrozumieć wyrazy. Telefon wynalazł Amerykanin, Graham Bell.

Później znów rozniosła się wiadomość, że drugi Amerykanin, czy Anglik, nazwiskiem Hughes, wynalazł taki przyrząd, który przenosi głos i zarazem wzmacnia wszystkie dźwięki; i tak naprzykład: jeżeli przy tym przyrządzie położymy zegarek kieszonkowy, który bardzo cichutko idzie, to przy drugim końcu druta odzywa się takie głośne tik-tak, jakgdyby to był wielki zegar ścienny, a kiedy mała muszka porusza skrzydełkami, to się zdaje, że to jakiś wielki chrząszcz się trzepoce. Na własne oczy widziałem taki mikrofon, tak się ten przyrząd nazywa, bo jeden ze znajomych wujaszka mi go pokazywał. Jak przyłożysz trąbkę do ucha, słyszysz przeróżne szmery i hałasy, bo każdy odgłos, czy to w pokoju, czy na ulicy, zaraz się odzywa.

Ale ja ci tu opowiadam dawne rzeczy, a ty pewno ciekawa jesteś owego dziwnego koncertu. Poczekaj, właśnie do tego zmie-

rzam. Otóż wyobraź sobie, że pan Machalski, Polak, inżynier ze Lwowa, obmyślił przyrząd, podobny i do telefonu i do mikrofonu, który tak wybornie głos przenosi po drucikach, że już nie potrzeba przykładac trąbki do ucha, bo słycać wszystko w całej wielkiej sali.

Nie będę ci szczegółowo tłumaczył, jakim to sposobem się dzieje, bo na to, żebyś dobrze zrozumiała, musiałbym wiele arkuszy zapisać, a i to możeby się na nic nie zdało. Powiem więc w kilku słowach, że głos powstaje w skutek drgania; kiedy ktoś mówi, porusza powietrze, ono drga i uderza o bębenek w uchu osoby słuchającej, a ta słyszy tym sposobem. Nie tylko powietrze, ale i każda rzecz może drgać tak samo, i wydawać głos. W przyrządzie pana Machalskiego jest cieniutka blaszka, przy której się mówi, śpiewa, lub gra; ona się porusza a tymczasem po druciku bieży prąd elektryczny, tak samo, jak w telegrafie i gdzieś daleko druga blaszka w téjże chwili drga zupełnie z tą samą szybkością, i powtarza najdokładniej dźwięki, czy to śpiewu, czy muzyki, czy mowy.

Tu w Warszawie przeciągnęli druty pomiędzy salą resursy kupieckiej, gdzie zebrałi się artyści i salą ratuszową, w której byli słuchacze. Te sale nie są wprawdzie zbyt oddalone od siebie, ale to wszystko jedno, zawsze od jednej do drugiej nie słychać. W Galicyi pan Machalski robił próby na większą odległość, przeciągał drut od Lwowa aż do miasteczka Brodów i udało mu się tak samo.

Żebyś wiedziała, jak to dziwnie wygląda; muszę ci to ze szczegółami opowiedzieć. Wchodzimy do sali, jak już mówiłem, niema nic, tylko te dziwne przyrządy. Wychodzi najpierw jeden pan i opowiada o telefonie, o mikrofonie i o przyrządzie pana Machalskiego, a tak jasno wszystko tłumaczy, że doskonale zrozumiałem odrazu. Potem odchodzi i przychodzi drugi pan, który ma doświadczenia wykonywać. Bierze w rękę przyrząd, do drutu przytwierdzony i trzymając go przy ustach, mówi głosem zwyczajnym: — Prosimy, żeby nam pani Dowiakowska zaśpiewała. — Aż tu po chwili wychodzi głos, niby

z pod ziemi:—Dobrze, zaraz pani Dowiakowska będzie śpiewała—in w rzeczy samej słyhać piękny śpiew, który także niby z pod ziemi wychodzi. Wszyscy słuchają, zdziwieni i zachwyceni, ja wyciągam szyję i uszy nastawiam, jak mogę, a gdy śpiew się skończył, biję brawo, co mam siły razem z innymi. Ten pan bierze znowu swoją czarodziejską skrzyneczkę i mówi:—Publiczność zasyła brawo pani Dowiakowskiej i prosi, żeby zagrano na flecie.—A głos z pod ziemi odpowiada:—Dziękujemy, zaraz flet zagra.—Gra flet, potem trąbka, potem śpiewa pan Kwieciński, nakoniec panowie jacyś proszą koniecznie, żeby jeszcze fortepian zagrał. Powiada ten pan, że to trudniej, bo na to by trzeba daleko większej trąby, żeby dźwięki chwyciła, ale jednak każe grać i słyhać bardzo wyraźnie jakąś polkę.

I cóż, siostrzyczko, czy radabyś taki koncert posłyszeć? Dopieroż to będzie wygoda, jak się te telefono-mikrofony rozpowszechnią i można będzie sobie rozmawiać ze znajomymi o mil kilka lub kilkanaście. Ba! wszystko to być może.

Mnóstwo jest teraz w Warszawie ciekawych rzeczy do widzenia; najprzód wystawa rolnicza, gdzie są pyszne konie, krowy, owce a nawet i pieski. Potem piękna bardzo wystawa przedmiotów sztuki i starożytności; nabiegałem się dobrze po skończeniu egzaminów, żeby to wszystko obejrzeć, ale na dziś opisywać więcej nie będę, bo i tak list mój dość już długi. Zostawiam to na drugi raz. Tylko na wyścigach nie byłem, bo wujaszek powiada, że to widowisko wcale nie ciekawe, gdyż nie przynosi żadnego pożytku, a dużo kosztuje pieniędzy, które mogłyby być lepiej użyte.

Tymczasem bywaj mi zdrowa; nim wyjadę na wakacje, jeszcze mam tu różne rzeczy do obejrzenia, a bądź pewna, że ci wszystko, co tylko jest ciekawego, dokładnie opiszę.

Twój przywiązany brat

*Kazio.*

## PRZYGODY NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(*Dalszy ciąg.*)

— Puść mię pan—wołał nieszczęśliwy—nie doprowadzaj mię do ostateczności—a gdy tamten trzymał go mocno i grozić nie przestawał, majtek prawie nieprzytomny wyjął nóż z kieszeni i utopił go w piersi podporucznika. Ten padł krwią zboczony, majtkowie rzucili się do ratowania, a Iwon skrył się tymczasem pomiędzy chatkami murzynów. Taka zbrodnia nie mogła być darowana; chociaż podporucznik nie zginął i nie był nawet ciężko raniony, sąd wojenny skazał mordercę na rozstrzelanie i oddział wojska otoczył wioskę murzyńską, w której majtek szukał schronienia. Byliby go niezawodnie znaleźli i ukarali śmiercią, gdyby stara jedna murzynka, litując się nad nieszczęśliwym zbiegiem nie przechowała go nadzwyczaj dowcipnym sposobem. Urządziła mu kryjówkę w dużym pęku prętów bambusowych, rzuconych przed jej chatę. Biedak leżał tam nieruchomy przez dzień cały, żołnierze przechodzili obok niego, nie domyślając się wcale takiego podstępu, w nocy murzynka go wypuszczała i dawała mu jeść. Trwało to całe dwa tygodnie, w końcu okręt musiał odpłynąć i winowajca był uratowany.

Laenek nie mógł powrócić do Europy, bo wszędzieby go poznano, jako zbiega, nie miał żadnego pasportu i nie przyjęto by go na żaden okręt. Ale stara murzynka, która się nim opiekowała, pochodziła z kraju króla Gobi i znała osobiście tego monarchę, wiedziała, jak wielkie miał uwielbienie dla białych ludzi, zaprowadziła więc majtkę do stolicy jego Mata-Zamba. Iwon miał trochę pieniędzy, gdyż zwyczajem majtków nosił cały swój majątek w pasie skórzanym; kupił sobie porządny karabin, zapas kul i prochu, a przedstawivszy się królowi Gobi, jako do-



świadczone wojownik, mianowany został odrazu dowódcą armii.

Wypadła wkrótce wojna z jakimś niespokojnym sąsiadem. Iwon wybornie wymusztrował murzynów, dzielnie uderzył na ich czele na nieprzyjaciół, pobił ich na głowę, a sam przytém tak szczęśliwie uniknął wszelkiego niebezpieczeństwa, chociaż narażał się z nieustraszoną odwagą, że gruchnęła wieść pomiędzy murzynami o czarodziejskich sposobach, któremi się od śmierci zasłaniał.

— Biały człowiek wolny jest od śmierci — powtarzali z zabobonném uszanowaniem i przewali go Momtu-Sambu, a król Gobi także temu uwierzył i uważając Europejczyka za wyższą istotę, nie śmiał mu się w niczém sprzeciwić. Iwon wcale nie zaprzeczał tym przekonaniom murzynów, bo mu z tém było wygodnie, królowi zaś oświadczył, że gotów jest zawsze bronić go przeciw nieprzyjaciółom, ale nigdy nie weźmie na siebie dowództwa w niegodziwych wyprawach, mających na celu zabranie niewolników na sprzedaż. Król Gobi zły był okropnie, bo chętnie byłby i ten kłopot zdał na swojego feldmarszałka, ale nie śmiał obrażać człowieka, który miał za sobą opiekę jakiegoś wielkiego bóstwa. Tym to sposobem nasz majtek wyrobił sobie zupełną niepodległość w państwie króla Gobi. Jedyńą jego rozrywką w tém osamotnieniu było polowanie; z karabinem swoim na plecach zapuszczał się często w głąb puszczy, a wiernym jego towarzyszem w tych wycieczkach był ogromny brytan, niezmiernie przywiązany do pana.

Gdy noc nadeszła Iwon stawił się na godzinę naznaczoną w kącie ogrodu, gdzie Barthet i Guillois z utęsknieniem na niego czekali, a gdy uroczyście zapewnił, że ich wyprowadzi z téj strasznej niewoli, zaczęli go błagać, aby nie zwlekał, lecz zaraz téj nocy ułatwił im ucieczkę.

— To niepodobna — odpowiedział Laenek — wszystkobyśmy popsuli tym pośpiechem. Trzeba wprzód obmyślić jakiś dowcipny sposób, aby nasze zniknięcie przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny utaić przed Gobim. On niezawodnie wysle pogoń

za nami, trzeba więc, żebyśmy już wtenczas byli daleko.

— Ale jakże tego dokazać potrafimy? — rzekł Barthet.

— Słuchajcie mnie tylko we wszystkiém i czekajcie szczęśliwej sposobności.

— Ślepo cię słuchać będziemy, nasz dobroczyńco.

— Jutro więc, nie odkładając, oświadczyście królowi, że chcecie się zająć musztrą jego wojska.

— Ależ ja się na tém nie znam wcale — rzekł śmiejąc się Guillois — co innego mój przyjaciel Barthet, on jest wojskowy, to jego rzecz, ale ja zawsze tylko z piórem miałem do czynienia i nawet ten dziki król pozna się odrazu na mojej niewiadomości.

— Będiesz we wszystkiém naśladował kolegę, albo wymyślisz sobie jakąś nową musztrę. Murzynom łatwo oczy zamydlić. Gdy nadejdzie chwila sposobna, dam wam znać dniem naprzód, tymczasem będziemy się jaknajmniej widywali. Gdybym miał wam co ważnego do doniesienia, przysyślę z tém wiernego mojego murzyna Mkunia; możecie mu ufać zupełnie.

W téj chwili brytan Laeneka, który go nigdy nie odstępował, zaczął wietrzyć niespokojnie, zwrócony do pałacu królewskiego.

— Leo, co to znaczy? — rzekł Iwon — czyżby kto zbliżał się w tę stronę?

Zwierzę zawarczało z cicha, widoczny okazywało niepokój i niezadowolenie.

— Oto będzie najlepszy nasz sprzymierzeniec, w ucieczce, do której się gotujemy — rzekł Iwon, głaszcząc psa — pocziwe zwierzę, jedyny mój przyjaciel na tym świecie. Już on mi nie raz życie uratował. Tak, jak go widzicie, moi panowie, ten pies odważnie występuje do walki z panterą i lampartem, a nie przeląkłby się nawet i lwa, gdyby się z nim spotkał. Jest to brytan z rasy angielskiej, dostał mi się gdy był jeszcze malém szczenięciem, trzy lata temu; wymieniałem go za jakieś błyskotki u mulata, handlującego murzynami. Wyhodowałem go na swoich rękach, jak dziecko, to też przywiązał się do mnie namiętnie, gotów rozszarpać każdego mego nieprzyjaciela.

## Rozwiązanie zagadki historyczno-geograficznej z Nru 20 Wieczorów Rodzinnych.

(Nadesłane przez Anulkę J. z Niszowiec i uznane za najlepsze przez redakcyą, która za nie przyznała nagrodę: *Wędrówkę po niebie i ziemi*).

Na szczycie wysokiej góry, nad źródłami Styru, w Galicyi wschodniej, w przesłicznym położeniu, niedaleko Brodów, stoi zamek starożytny, *Olesko*.

(Styr niemal od źródeł swoich jest spławny dla tratw, a w dalszym biegu i dla większych statków).

Olesko, bardzo starożytna osada, jest teraz miastem powiatowem, w obwodzie Złoczowskim. Z zamku wzniesionego na stromiej i samotnej górze, pokrytej krzakami, przesłiczny rozciąga się widok na okolicę. U stóp góry, otoczonej szeroką niziną, wije się Styr, jak srebrzysty potok. Ale ten zamek tak wspaniały, jest teraz piękną ruiną, baszty i mury poczerniałe pokryte są roślinnością.

Olesko było niegdyś siedliskiem książąt Oleskich. Na początku XV wieku, Ignacy Olesko fundował tam wspaniały gotycki kościół, a może i zamek w oddaleniu od miasta leżący, jako strażnicę przeciw Tatarstwu.

W kościele spoczywają zwłoki znakomych właścicieli tego miasta: Oleskich, Daniłowiczów, Żółkiewskich, nakoniec Rzewuskich. Na ścianie jest mały grobowiec Stanisława Daniłowicza, ostatniego potomka tego rodu, brata Teofili Sobieskiej. Około r. 1327 zamek ten odziedziczył Bolesław Trojdenowicz, ks. mazowiecki; następnie zajął go z przyległemi grodami Lubart, ks. litewski, udział swój na Wołyniu mający. Na mocy traktatu, zawartego w r. 1366 z książętami litewskimi, przyznane zostało Olesko koronie. Król Ludwik nadał je wraz z innemi miastami na Rusi Czerwonej, siostrzeńcowi swojemu Władysławowi, ks. Opolskiemu, który dzierżył te posiadłości do r. 1377. Późem zamek Olesko osadzono załogą węgierską. Po śmierci króla Ludwika rządca zamku zaprzedał go ks. Lubartowi. Odtąd Ole-

sko zostawało w ręku Litwinów, aż dopiero, gdy w r. 1432 Swidrygajło wyzuty został z W. Ks. Litewskiego, Polacy zdobyli obronny ten zamek, po długim oblężeniu. W r. 1441 król Kazimierz Jagiellończyk oddał zamek Olesko na własność, zasłużonemu rycerzowi, Janowi z Sienna. Jego potomkowie pisali się z *Sienna Olescy*, a potem Sienińscy. W XVI wieku, Stefan Batory polecił Janowi Sienińskiemu z Oleska, wojewodzie Podolskiemu, właścicielowi dóbr rozległych, opisać ziemie Podolskie i całą Ukrainę. Jan z Sienna, który jeździł nieraz w poselstwach do Carogrodu i posiadał dobra na trzech drogach czyli szlakach zwanych „tatarskimi“, uczynił to z pomocą Sarnickiego, autora „*Opisu Polski*.“ Opisał i odmalował wszystkie trzy tatarskie szlaki, czarny, średni i pokucki, od Czarnego morza do Lwowa, wskazując leżące na każdym szlaku miejsca i wypisując liczbę mil między jednym miejscem a drugim.

Od Sienińskich przeszło Olesko do Żółkiewskich, a z ręką Zofii Żółkiewskiej, dostało się Janowi Daniłowiczowi; z ręką zaś Teofili Daniłowiczówniej, Jakóbowi Sobieskiemu. Rzewuscy nabyli Olesko od królewicza Konstantego, syna Jana III-go. Seweryn Rzewuski fundował w Olesku klasztor Kapucynów, który ma być największym na świecie kapucyńskim klasztorem. Później sprzedano Olesko dla zaspokojenia dłużników Rzewuskich. Kupił go wtedy na licytacji podkomorzy Zieliński.

Olesko jest miejscem urodzenia dwóch królów polskich: Michała Korybuta i Jana III Sobieskiego.

Teofila z Daniłowiczów Sobieska, kasztelanowa krakowska, która zwykle mieszkała w Złoczewie w zamku męża, bawiła w Olesku, u matki swój, Zofii z Żółkiewskich Daniłowiczowej, <sup>1)</sup> wtedy już wdowy, gdy się jej drugi syn, Jan III urodził, 2 Czerwca 1629 r. (W tymże zamku Oleskim Teofila wzrosła).

Gdy w r. 1820, Niemcewicz zwiedzał Olesko, pokój, w którym urodził się król-boha-

<sup>1)</sup> Wojewodziny Ruskiej.



ter, nadwyczaj był już opuszczonym. „Ledwie z krętych schodów, pisze, drapiąc się po wyszczerbionym murze z niebezpieczeństwem, obdarłszy kolana, mogłem się wdrzeć do tego pokoju.“ Pokój ten był malowany niebiesko i ozdobiony pilastrami gipsowymi, połączeniami u góry.

Babka dziecięcia zanosła je do blizkiego pokoju, dość dużego, położonego w baszcie wieży ośmiograniastej.

Tam w środku, stał stół marmurowy czarny, dziś do Podhorzec przeniesiony. Na tym stole dziecię złożono, umyto i spowito. W chwili, gdy go na stół kładziono, marmur pękł na dwoje, jakby rażony piorunem. Były tam zwierciadła i obrazy, dziś powijmowane. Niemcewicz widział jeszcze ich rami gipsowe, połączone, owalne i czworograniaste. Najpiękniejsza sala była ta gdzie się odbył chrzest króla Jana III-go.

### Zadanie głoskowe. (A. J.)

Ngdź src stsknn  
Mr mnch n przśń?  
Wcznż w jdn gdzś strn  
Zczrj m psń?

Dodać do tych spółgłosek brakujące samogłoski, aby ułożyć wiersz znakomitego poety.

### Łamigłówka zgłoskowa. (A. G.)

Z następujących zgłosek: a — cierań — das — dyk — e — in — ir — ka — la — la — mi — mis — moj — non — pa — pi — pis — rak — sa — si — si — ski — za — — ułożyć 9 wyrazów: 1) Rzeka w Ameryce. 2) Trunek. 3) Kamień. 4) Drzewo kołące. 5) Nazwisko sławne w naszych dziejach. 6) Nazwisko wodza starożytnego. 7) Rzeka w Niemczech. 8) Miasto w Egipcie. 9) Ptak domowy. Pierwsze litery od góry do dołu, tworzą nazwisko poety polskiego, ostatnie, także od góry do dołu, nazwisko innego poety.

### Rozwiązania do Nru 28.

#### Łamigłówki liczbowej:

Koral  
Akr  
Roch  
Oka  
Loch  
Sarna  
Zan  
Alka  
Jan  
Noc  
Osa  
Cal  
Halka  
Ara.

Karol Szajnocha.

#### Łamigłówki w kwadraciku.

C	A	L
A	H	A
L	A	S

### Odpowiedzi od Redakcyi.

Mañci B. w Fernie Ostrowie. Widok dobrze znanego pisma bardzo nas ucieszył. Ale cóż to znaczy, że stała nasza korespondentka od tak dawna o nas zapomniała, a teraz odzywa się tak ceremonialnie i przeprasza za naręctwo, wiedząc doskonale, że my wszystkie zlecenia kochanych naszych czytelników spełniamy zawsze z największą przyjemnością. Wypisy Kaszewskiego kosztują 1 rs. 20 kop., ale historyi żądanej niema wcale w księgarniach warszawskich. Mamy nadzieję, że t raz znów częściej odbierać będziemy liściki i różne dowcipne łamigłówki tak samo, jak w roku zeszłym.

Jadzi i Helci S. Obecnie za mało jest miejsca w Piśmie naszym, ażebyśmy mogli wyznaczać w niem osobne miejsce dla młodszych czytelników; ale na rok przyszły, dogadzając życzeniu wielu osób, rozszerzymy ramy Pisma o tyle, że małe dzieci będą miały swój osobny dodatek bez żadnej ujmy dla starszych.

# MODLITWA DZIEWCZĘCIA.

AUTORCE TĘJ MODLITWY

ofiaruje Józef Czubski.

Muzyka J. Czubskiego.

Słowa A. Skibińskiój.

Moderato.

Piano.

First system of the piano introduction, featuring a treble and bass staff in 6/8 time with a key signature of three sharps (F#, C#, G#). The music begins with a piano (*p*) dynamic and a moderate tempo.

Second system of the piano introduction, concluding with a *diminuendo* marking and a *Fine.* ending.

Spiew.

First system of the vocal introduction, including a vocal line and piano accompaniment. The lyrics are: "Już kwie-tnio-wy świ - ta dzio - nek Tchnie - nie wio - sny czuć w o - ko - to".

Second system of the vocal introduction, including a vocal line and piano accompaniment. The lyrics are: "Stoń - ce zle-wa bla - sków zdroj, tak po - go-dnie, tak we - so - ło".

Third system of the vocal introduction, including a vocal line and piano accompaniment. The lyrics are: "W nie - bo wzno-si się sko-wro - nek I świe - go - ce pta - sząt rój". The system concludes with a *diminuendo* marking and a *de capo, al fine.* instruction.